Rok XI^ty. Nr. 9.

Szkółka niedzielna



Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela Sucha*, dnia 28. Lutego 1847.

Religia.

Czcij ojca twego i matkę twoję.

(Powieść prawdziwa.)

Sprawiedliwa ręka Pana Boga miesza się niekiedy bardzo widocznie w sprawy ludzkie, aby i tym, co mają oczy, a nie widzą, i co mają uszy, a nie słyszą, dać wzruszające znaki swojéj łaski. Ci zaś, którzy okiem wiary wszędzie w rzeczach ludzkich widzą rządy Opatrzności i one uwielbiają, stają się w swoich zasadach tém mocniejszymi, i tém usilniéj starają się o życie, któreby się Bogu podobało. Dowód téj prawdy znajdziemy w następującém prawdziwém, bardzo nauczającém zdarzeniu:

Zeszłego lata żył w pewnéj wsi w nędznéj chatce stary człowiek z synem jedynakiem, już dorosłym. Staruszek przedłużał swoje kłopotliwe życie więcéj przez miłosierdzie dobrych ludzi, jak przez wsparcie swego syna. Ten, gardząc wspomnieniami i przestrogami swego starego ojca, uwikłał się w sidła lekkomyślności, i prowadził życie bardzo gorszące i występne. Nędza staruszka, którą można było widzieć na twarzy jego, nie tak wielkiém była dla niego nieszczęściem, jak cicha boleść serca, z którą jako ojciec musiał patrzeć na takie życie swego syna. Rzęsistemi łzami zalany zaklinał go często, aby siebie i jego siwe włosy ochraniał, i nie leciał tak ślepo w przepaść doczesną i wieczną. Na mowę tak dobrą i szczerożyczliwą odpowiadał niecnota najprzód milczącą hardością, a potém klątwami i obelgami, a nawet — o zgrozo i hańbo! — tak dalece się zapomniał, że podniósł rękę na własnego ojca, i bił go, ile razy go głos ojcowski napominał i od złego odciągał.

Ułomność wieku, a najwięcéj gryzący kłopot i smutne dni, które syn wyrodny dobremu ojcu gotował, doprowadziły do tego, że osiwiały starzec złożony został chorobą. Gdzie jest to dziecko, które, stojąc przy łóżku ojca chorego i umierającego, z miłości poświęcającéj się nie chciałoby mu odkupić dni życia, albo któreby nie pamiętało na słowa: „Synu! wspomagaj starość ojca twego, a nie zasmucaj go za żywota jego!“ Ekkl. 3, 14. Lecz ten nędznik ile razy ze złych towarzystw lub z występnych schadzek powrócił do domu, miotał swemi bezbożnemi ustami najniegodziwsze klątwy,

i nieraz sińce i krwią zawrzałe znaki były świadkami, jak syn obchodził się z chorym swoim ojcem. Nieszczęśliwy chciałby był to oburzające obchodzenie się wyjawić sąsiadom, którzy niekiedy przychodzili go nawiedzić, lecz obawiał się, że niegodny syn jeszcze gorzéj z nim obchodzić się będzie. Wtém Bóg zesłał anioła pociechy do chatki nieszczęśliwéj; przyszedł kapłan, który go miał przygotować na drogę wieczności, i świętemi Sakramentami na śmierć zaopatrzyć. Słowa pociechy pobożnego kapłana zmiękczyły serce ojca, i dodały mu odwagi, aby postępowanie syna, coraz surowsze i coraz więcéj nieludzkie, wyjawić powiernikowi swojego sumienia, w którego sercu wyznanie winy swoich grzechów już był złożył. „Wielebny księże Plebanie! postaraj się o to, abym ostatnie dni mojego życia mógł spokojnie zakończyć. Chciałbym przynajmniéj spokojnie umrzeć.“ Strapionemu ojcu łzy się strumieniem rzuciły, i więcéj nie mógł powiedzieć. Pleban do żywego wzruszony tym widokiem i temi słowami, udał się natychmiast w drogę, aby życzenie umierającego, ile możności, wypełnić. Z całą wymową wystawił sędziemu smutne położenie nieszczęśliwego ojca i jego jedyną prośbę, która, jeżeli wypełnioną będzie, może mu ulżyć na te kilka dni życia. I czyjeżby serce nie wzruszyło się na takie oburzające obchodzenie się! Zaraz wydano rozkaz, wyrodnego syna tak długo w więzieniu trzymać, aż stary ojciec oczy zamknie. Co zrobił niecnota? Kiedy nazajutrz sługa sądowy przyszedł i oznajmił mu, że ma się zabrać i z nim pójść, udawał, że cierpi na nogi, lubo ostatniéj nocy do pewnego domu podejrzanego zrobił tam i napowrót pare mil drogi. Pomimo wszelkiego oporu, aby nie miał żadnéj wymówki, wsadzono niegodziwego na wóz; o pożegnaniu się z ojcem lub przeproszeniu go nie było ani mowy, — a koń ciągnął niegodny ciężar do sądu, do miasta, na trzy mile odległego. Wjeżdżają na dziedziniec, koń stanął. Udającemu chorobę sługa sądowy chce pomódz przy schodzeniu z woza; ten, klnąc okropnie, nie przyjmuje téj pomocy, schodzi sam na ziemię, i — *w téj saméj chwili pada nieżywy* z przestrachem i zgrozą dla przytomnych. — Teraz ojciec mógł umrzeć spokojnie, choć dla niepokuty syna serce jego bardzo bolało. To zdarzenie zrobiło w całéj okolicy wielkie wrażenie; przyznano, że na nim spełnił się wyrok Pana: „Ktoby złorzeczył ojcu swemu, abo matce, śmiercią niechaj umrze!“ Exod. 21, 17. X. B.

Rozmaitości.

Odwiedziny poćciwego Grzeli.
(Dokończenie.)

Komotr. „Słyszałem, że tam gadu różnego ma być bardzo wiele — a w powietrzu tyle much i komarów, że trzeba chustką twarz zakrywać, kiedy się chce mówić, aby do gęby nie wleciały, bo okropnie natrętne.“ — Grzela. „Jest tego owadu mnóstwo, a nawet kłują nieznośniéj i natarczywiéj niż nasze komary.“ — Komoszka. „Ja to dawno powiadam, że co nasze, to wszystko lepsze niż obce; i widzicie, nawet komary naszę są lepsze.“ — Grzela. „Co więcéj, w Ameryce nawet dzicy ludzie jeszcze się znajdują; i kiedy się biedzisz nad rudowaniem lasu, gdzie ci

rozkazano, on cichaczem się skrada, z tyłu pałką znienacka łupnie, życia pozbawi i chudobę zabierze." — Komoszka. „Dla pana Jana! co to za zbóje; no, i ci Kujawiacy tam chcieli iść?" — Grzela. „Bo nieboracy zapewne o tych przykrościach i tych niebezpieczeństwach nic nie wiedzą." — Komotr. „A niechby sobie szli; to zapewne ludzie nie wiele warci; gdyż ja o takim, co się na obleciświata puszcza, nic dobrego nie trzymam." — Grzela. „Przecież to niepotrzebne rzeczy; czegóż po świecie szukać chleba, wszakże u nas nikt jeszcze z głodu nie umarł; nasza macierzysta ziemia tak urodzajna i płodna, że nas wszystkich używi. Kto się do pracy nie leni, a ućciwie żyje, tego bieda nie zadusi. Ba, nawet gazety piszą, że tu Rząd przyśle Niemców z nad Renu; bo my sami zjeść nie możemy, ile nasza ziemia wyda. Wszakże bowiem latoś nawet, w czasie tego nieurodzaju, a przedajemy jednak zbywające zboże, które idzie za granicę cudzoziemców żywić." — Komotr. „Widać, że Pan Bóg opatrzny jeszcze nas kocha, więcéj niż innych."

Grzela. „Takem się zagadał, żebym nie długo i o interesie był zapomniał." — Komotr. „Mówcie, czego sobie życzycie." — Grzela. „Chcę, żeby mi mój chrześniak, a wasz syn, napisał list do Marcina, co nad Renem stoi u żołnierzy." — Chrześniak. „Bardzo rad wam to zrobię, mój ojcze chrzesny, bo umiem ładnie pisać." — Grzela. „Słyszałem to na jarmarku, że was ślicznie tutaj uczą; więc bierz papier i napisz mi." — Chrześniak. „A co mam pisać?" — Grzela. „Naprzód mu donieś, że jestem zdrów, i zasyłam mu ojcowskie błogosławieństwo; potém, że mu przypominam, aby pamiętał co dzień o pacierzu; żeby żył skromnie i powściągliwie; daléj, że mu posyłam książkę z modlitwami i 12 złotych; a w końcu, że go jego Jadwiga pozdrawia." — Chrześniak. „Dobrze, ja to wnet napiszę." — Komotr. „Kiedyż się syna od wojska spodziewacie?" — Grzela. „Za pół roku; ale prawdę mówiąc, więcéj się lękam téj chwili, niż się na nią cieszę." — Komotr. „To z jakiéj przyczyny?" — Grzela. „Bo się tam bardzo zbisurmanią. Powrócił niedawno sąsiada mego, Szymka, syn; jaki to sobie był dawniéj raźny parobczak — a co się z niego zrobiło. — Już nie chce chodzić w kamzeli, tylko takie portki wciągnie na ręce, i nazywa to jaką; śmieje się, gdy zobaczy pawie pióra za kapeluszem zatknięte; ojcu nie mówi tatuś, jeno tatynek, i koniecznie chce przejść na miastowego, żeby mu wasón mówili." — Komoszka. „Dla pana Jana, co to za wyrodek? A cóż dziewuchy na niego mówią?" — Grzela. „Takie na niego łaskawe, jak psi na dziada, bo je dyrnami przezywa." — Komoszka. „Jak? durniami?" — Grzela. „Żeby jeszcze tak, wiedziałyby wtedy przynajmniéj, jak je ćci; ale on mówi dyrny." — Komoszka. „Dy jabym szkopek mleka na głowę mu za to wylała; czy dziewuchy z nim tańczą?" — Grzela. „Hanoć, tańczą, ale nie mogą z nim podołać; bo ni on obertasa, ni mazura, tylko jakoś hyca, i powiada, że to szkocz!" — Komotr. „A inni parobcy nie wycupili go, jak im tak w karczmie barłoży?" — Grzela. „O, za naszych młodych czasów płazem by mu to nie uszło; ale oni tylko go szkoczem za to przechrzcili, i patrzą

nań jak na srokę, kiedy mówić zacznie, bo go na pół nie rozumieją. On na kołnierz mówi kraga, na portki że to hozy, a bóty to sztywle; chałupę nazywa masonem, chłopów piesami — i wciąż by tylko o Majncu rozprawiał. A jak się z czém do niego odezwiesz, to jeno „ujuj" albo „jaja" odmruknie, i bądź z niego mądry." — Komoszka. „Już jabym mojéj Maryśki za takiego wyląga nie dała." — Grzela. „Otóż więc teraz możecie sobie wytłumaczyć, czemu się lękam powrotu mego Marcina; jak on mi bowiem téż takim mięszanym językiem zacznie głużyć, czyż tam serce do niego nie poweźmie wstrętu? czyż go będę mógł tak kochać jak dawniéj?" — Komotr. „Toć iście nie do darowania, żeby swoję starą i piękną mowę tak kaléczyć i zaniedbywać." — Grzela. „Dobrze jest znać się i na pługu i na piśmie; lepiéj znać dwie rzeczy, niż jednę; kiedy mają ochotę i zręczność, niechaj się uczą onych nadreńskich mów; ale kiedy do nas wrócą, niechże mówią naszym starym językiem, w którym ojcowie nasi Pana Boga chwalili." — Komotr. „Pewno się to i Panu Bogu nie podoba taka popsuta mowa; boć kiedy nam czystą stworzył, na cóż ją pstrzyć." — Grzela. „O, bez wątpienia, i grzechem jest wielkim, swoją mowę lekceważyć lub zarzucać, gdyż to jest tyle, co sprzeciwiać się woli Boskiéj. Kiedy albowiem Pan Bóg tyle wzbudził narodów, i każdemu różny dał język; toć pewnie temu, że chce, aby ludzie wszystkiemi głosami wielkość Jego uwielbiali." — Komotr. „To czysta prawda, iże to musi być obraza boska; trzeba mi się bardziéj strzedz, bo ja czasem zamiast figiel mówić, to powiem szpas, a to wyraz téż nie polski, jeno niemiecki, jak mię owo pisarz pouczał."

Grzela. „Przecież choć mi u was, dobrzy Chobieniczanie, miło siedzieć, to i czas, komu w drogę; proszę was, komotrze, do swego domu, a pogawędzim sobie daléj. Tobie, chrześniaku, Bóg-zapłać za napisanie; przyjm te kilka groszy i kup sobie za nie jaką nabożną książkę. Zostajcie tu wszyscy z Bogiem!" — Domowi. „Niechaj was Pan Bóg szczęśliwie prowadzi, poćciwy Grzelo!"

Dan 1. Marca 1847.

Michalak.

Na czele sławnych tabaczników, czyli zażywaczy tabaki, stoi teraz pewien włoski uczony, nazwiskiem *Magliabecchi*, który, podług własnego zeznania, od roku 28 do 75 co dzień 3 łóty, a zatem w 50 lat około 60,000 łótów, czyli 20 centnarów, wyżył tabaki. Fryderyk Wielki, jak wiadomo, zażywał hiszpankę i to z kamizelki.



SZKÓŁKA NIEDZIELNA wychodzi, co tydzień pół arkusza, za umiarkowaną cenę rocznie złp. 4., półrocznie złp. 2. Wszystkie królewskie urzędy pocztowe i księgarnie przyjmują przedpłatę, i dostawiają Szkółkę co tydzień, bez podwyższenia ceny, Abonentom.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: *X. T. Borowicz.*)